



PIOTR SKUPNIK

MISJA GNIEWOMIRA

PIOTR SKUPNIK

MISJA GNIEWOMIRA

Wersja demonstracyjna



PSYCHOSKOK

Piotr Skupnik
„Misja Gniewomira”

Copyright © by Piotr Skupnik, 2021
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana
i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**
Korekta: **Bożena i Janusz Sigismundowie**
Projekt okładki: **Robert Rumak**
Skład: **Jacek Antoniewski**
Ilustracje na okładce: **Fotokvadrat, Альберт Гизатулин,**
oleg_ermak, IgorZh – stock.adobe.com

ISBN: 978-83-8119-733-5

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

PIEŚŃ O GNIEWOMIRZE ZUCHWAŁYM

Gniewomir, nasz jarl zuchwały i niezwyciężony,
Rozmiłowany w niewiastach i niepohańbiony,
Niegardzący mocnym piwem i szlachetnym winem,
Wypiał tyłek Odynowi, by stać się chrześcijaninem.

Na wodach Sundu stawał mężny, nieugięty,
Aż wyszedł mu naprzeciw Smoczy Łeb nietknięty,
Lecz nasz nieulekły jarl w mig się z nim rozprawił
I do pałacu w Asgardzie rychło go wyprowadził.

Za ukochaną ruszył na sam kraniec świata,
W wyniku podłych knowań przyrodniego brata,
Na mrocznej wyspie wojów swych ze smyczy spuścił
I samemu Krwiopijcy miarkę krwi upuścił.

U boku Knuta walczył z wrogów nawałą
I wraz z nim zawojował Anglię całą.
W ojczyźnie matki bitwę ze Szwedami stoczył,
A w Gniewogardzie swym wrogom juchę z żył wytoczył.

Do Miklagardu wyruszył, sierpa bogów szukając
I na żadne niebezpieczeństwa nie zważając,
W Arkonie zaś bohatersko córkę swą ocalił,
A w zwarcu samego Jarowita na ziemię powalił.

*Lepiej stać po stronie Boga, który wygrywa, niżli
pozostawać wyznawcą tradycyjnych bóstw
z wolna odchodzących w zapomnienie.*

PROLOG

Jest piękne lipcowe popołudnie, roku Pańskiego 1051. Słońce skryło się za białymi chmurkami, a łagodny wietrzyk, tylko z rzadka porusza liśćmi drzew. Jest parno, lecz skwar osłabł nieco, za co jesteśmy wdzięczni dobremu Bogu. Wciąż jednak modlimy się o upragniony deszcz, który nie padał już od kilku niedziel. Staramy się nie podupadać na duchu, wierząc, że cudownym zarządzeniem losu unikniemy suszy i kiepskich zbiorów zapowiadających nadejście zimowego głodu.

Przechadzam się po leśnej ściółce w towarzystwie mego wiernego druha Jaśka, niegdysiejszego Łowcy Turów. Dookoła nas roznosi się wszechobecny szelest i gromkie nawoływania. To podopieczni mojej córki, Marzanny, gmerają pośród drzew i krzewów w poszukiwaniu leśnych jagód, borówek, malin oraz leczniczych ziół. O grzybach nie ma nawet co marzyć, gdyż poszycie jest nazbyt wysuszone. W takich warunkach nie wzejdzie żadna grzybnia.

Wtem moje oczy dostrzegają coś świecącego w bujnej trawie. Podnoszę to z ziemi i dziwię się, widząc niewielki medalik zawieszony na złotym łańcuszku. Na awersie widnieje twarz Matki Boskiej, lecz na rewersie znajduje się bizantyjski krzyż oraz greckie litery. Chowam drogocenną błyskotkę do sakwy, po czym nieuchronnie pogrążam się we wspomnieniach. Odruchowo zaciskam dłoń na rękojeści

miecza przytroczonego do lewego biodra i poddaje się nurtowi myślowemu.

Znów widzę piękny Konstantynopol – miasto jak ze snu – z jego strzelistymi basztami, świątyniami i klasztorami oraz ogromnym pałacem, w którego wnętrzu na złotym tronie zasiadał okrutny cesarz Bazyli. Następnie moje myśli biegną do wcześniejszych wydarzeń z ruskiej wyprawy. Do wielkiej bitwy z wojskami księcia Jarosława oraz do złupionego niemal doszczętnie kijowskiego grodu. Potem oczami wyobraźni dostrzegam pewien artefakt, na którego poszukiwanie wysłał mnie książę Bolesław. Owego przedmiotu pożył również pewien słowiański kapłan, który, przy jego pomocy, pragnął przywołać starych bogów. Owo wezwanie miało dokonać się w mieście Arkonie – mateczniku prasłowiańskich wierzeń. Co więcej, wspomniany czarownik był rodzonym bratem...

Ręka Jaśka chwyta mnie za ramię, wyrrywając z zadumy. Spoglądam rozeźlonym wzrokiem na przyjaciela, a on spokojnie mówi:

– Znów błądzisz gdzieś myślami, Gniewomirze, to niepokojące. Lepiej wracajmy do posiadłości. Marzanna już pewnie przygotowała posiłek, a ksiądz Anzelm rozłożył swoje przybory. Oboje oczekują nas z niecierpliwością.

– Dobrze, stary druhu – odpowiadam. – Czas zwołać podopiecznych.

Rozglądam się dokoła. Unoszę głowę i wołam gromkim głosem, aby mnie wszyscy usłyszeli:

– Moi drodzy, czas wracać do domu! Dziś niczego więcej nie zbierzemy!

Po chwili z lasu poczynają wyłaniać się umęczone sylwetki dorosłych i dzieci, łącznie dwadzieścia osiem złanych

potem głów. Tylko najbardziej doświadczeni zbieracze mają coś w swoich wiklinowych koszykach. Są to jagody i zioła. Pozostali nie znaleźli niczego, prócz chrustu, kory oraz mchu, służącego do podcierania tyłków.

Wszyscy udajemy się wreszcie do przytułku, w którym jeszcze dziś będę kontynuował swoją spowiedź. Idę i rozmyślam, jak to kiedyś, jeszcze nie tak dawno temu, byłem budzącym postrach oraz szacunek wojownikiem. A na starość przeobraziłem się w opiekuna bezbronnych. Widząc to, jednooki Odyn pewnie zaśmiewa się do łez, lecz mam go w dupie. Nigdy mi nie pomógł, gdy go wzywałem. Teraz zaś jestem wyznawcą Chrystusa. I to od Niego spodziewam się nagrody w przyszłym życiu. Jeśli oczywiście na nią zasłużyłem.

Część pierwsza

Kijowska wypRAWA

Rozdział pierwszy

Pewnego zimowego dnia, roku Pańskiego 1018, natknąłem się nieopodal Gniewogardu na dziwaczny symbol. Ujrzałem go na rozłożystym drzewie, którego gałęzie pokryte były zmrożonym śniegiem. Ktoś zdarł kilka połaci obmarzniętej kory i na gołym pniu wymalował coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Żółtą błyskawicę jakby spadającą zygzakiem z nieba. Czarne, złożone ze sobą rogi tura, niby wyrastające z podziemi. A pomiędzy nimi srebrny sierp opromieniony blaskiem, z drewnianą rękojeścią przyozdobioną zielonym szmaragdem. Promienie wytryskające z sierpa muskały, zarówno błyskawicę, jak i poroże. Wyglądało więc na to, że owe trzy przedmioty są połączone ze sobą i wspólnie tworzą jeden tajemniczy znak.

Kiedy tylko go zobaczyłem, natychmiast posłałem po Gudrun. W tym czasie starałem się odnaleźć jakieś obce ślady ludzkich stóp. Niestety, nie udało mi się. Najwidoczniej osoba, która wymalowała ów symbol na pniu dębu, potrafiła też dobrze zacierać ślady. Pomógł jej również śnieg, który padał od samego rana. Wszechobecny biały puch uniemożliwiał bowiem tropienie, zasypując nawet najmniejszy ślad.

Moja siostra nadeszła szybko, przyzwana przez Angwarda. Nie miała daleko ze swego szałasuska skleconego z patyków, liści i darni, w którym zamieszkała po tym,

jak w zeszłym roku wrogowie spalili jej mały domek. Była odziana w wilcze futro z kapturem. Na nogi założyła buty z foczej skóry. W lewej ręce dzierżyła sękaty kij.

– Cemuś mnie wezwał, bracie? – spytała ochrypłym głosem.

– Sama zobacz – odparłem, wskazując na drzewo.

Podeszła wolnym krokiem, wpatrując się w symbol. Położyła na nim prawą dłoń i długo milczała. Następnie zaczęła mamrotać jakieś niewyraźne słowa. Gdy zniecierpliwiony przedłużającym się czekaniem chciałem już się odezwać, odwróciła się nagle, mówiąc:

– To nie jest znak Normanów, Bałtów ani Celtów. To malunek słowiański.

– Czy wiesz, co oznacza ów symbol? – zapytałem.

– Nie, lecz Welewitka powinna rozpoznać jego znaczenie.

– Myślisz, że ma on jakiś związek z Rugią i miastem Arkona?

– Owszem. Tak mi nie mam.

Przyznaję, że przez resztę wolno upływającego dnia nie mogłem się na niczym skupić, gdyż ciekawość mąciła moje myśli. Rąbanie drewna, patroszenie ubitej zwierzyny oraz zabawa z dziećmi. Wszystko to dłużyło mi się niemiłosiernie. Wreszcie, po wieczery, kiedy Marzanna i Ismira udały się ze swymi pociechami do domów, my też mogliśmy zaznać odpoczynku. Mój pierworodny Wojmir usnął przy stole, jak to miał w zwyczaju. Pozostali przenieśli się do drugiej izby, którą mogliśmy zwać alkową. Gniewomir Młodszy oraz Thorvald szybko zalegli na siennikach, co można było uznać za sukces, zważywszy na wcześniejsze zdarzenia.

Z początku mały Thorvald wielokrotnie próbował skrzywdzić Gniewomira Młodszego, obwiniając go o śmierć matki.

Gdy raz Welewitka próbowała się wtrącić, to sama o włos uniknęła ciosu w brzuch. Wpadłem w gniew i wymogłem na obu wyrostkach, żeby zawarli przymierze krwi, jak prawdziwi wojownicy. Wówczas domowe awantury dobiegły końca. Syn Dagmary uspokoił się nieco, lecz ja nie miałem do niego zaufania. Dlatego zamierzałem go oddać, na co nie zezwoliła moja małżonka, wspierana przez księdza Teobalda.

Kiedy zrobiło się cicho, ległem z Welewitką w naszym wygodnym łożu. Opowiedziałem jej o tajemniczym symbolu, a ona słuchała w milczeniu. Kiedy skończyłem, rzekła:

- Muszę zobaczyć ten znak.
- I zobaczysz, jutro – zapewniłem.
- Mam złe przeczucie.
- Dlaczego?

Usiadła, podwijając nogi pod siebie. Położyła dłonie na udach. Zamknęła oczy, najwyraźniej przywołując wspomnienia, po czym rozpoczęła opowieść.

– Kiedy byłem uzdrowicielką w Arkonie – rzekła – kapłan Radosław opowiedział mi legendę o dwóch stworzycielach. Wedle niej, na świecie istniało bezkresne morze, aż wreszcie z błękitnego sklepienia zszedł Perun, osiadając na wzburzonych wodach. Kiedy tak dryfował na falach, niespodziewanie dołączył do niego Weles, który wyłonił się z głębin. Obie istoty przyjrzały się sobie i stwierdziły, że są równie potężne. Tak że jedna nie mogłaby zwyciężyć drugiej. Wobec tego postanowiły złączyć swe siły i zrobić coś razem. Weles zanurkował w głębinę i z dna morskiego wydobył garść mułu. Wręczył go Perunowi, który rzucił muł na wodę. I tak powstała pierwsza wyspa. Umęczeni bogowie legli, aby spocząć; jeden po wschodniej, a drugi

po zachodniej stronie wyspy. Zachłanny Weles przebudził się pierwszy i postanowił zepchnąć Peruna w odmęty, co mu się nie udało; bo kiedy przesunął jego ciałem, to ziemi oraz skał stale przybywało. I tak powstał pierwszy duży ląd. Wreszcie Perun zbudził się ze snu i poraził Welesa piorunem, przepędzając go do podziemnej krainy. Od tamtej pory obaj nieustannie stwarzają świat, a jeden chce być lepszy od drugiego. Często też działają sobie na przekór. Kiedy Perun stworzy coś dobrego, to Weles może stworzyć coś złego i tak dalej...

– A jak było z ludźmi? – wtrąciłem się zciekawiony.

– Według Radosława początek ludzkości dały wiechcie słomy, którymi Perun otarł swoją mokrą skórę po kąpieli. Weles stworzył z nich ciała pierwszych kobiet i mężczyzn. Pan błyskawic zaś obdarzył je życiem.

– Brzmi to nieprawdopodobnie – stwierdziłem.

– Wiem, lecz słuchaj dalej.

– Mów, najdroższa.

Welewitka zaczerpnęła głęboko powietrza i kontynuowała opowieść.

– Na Rugii wierzy się, że bogowie przekazali pierwszym ludziom niezwykły dar. Sierp, którego srebrne ostrze wykuł Weles, a trzonek z dębowego drzewa zrobił Perun. Na sam koniec, Dziewanna przyozdobiła ów przedmiot pięknym szmaragdem.

– Chyba zaczynam pojmować – przerwałem jej. – Błyskawica symbolizuje Peruna, a rogi oznaczają Welesa.

– Tak, mój mężu, lecz to nie koniec. Ludzi przybywało. A wybrańcy bogów znaleźli odosobnione miejsce. Popłynęli na wyspę i tam założyli obwarowane miasto, które po dziś dzień zowie się Arkona. W owym ziemskim raju niczego

im nie brakowało. Nawet śmierć nie miała tam wstępu. Jednak owa sielanka nie potrwiała długo. Pewnego dnia zdrajca, którego imię zostało wymazane z ludzkiej pamięci, wykradł uświęcony sierp ze świątyni, po czym zbiegł w niewiadomym kierunku. Wówczas, jak mówi legenda, mieszkańcy Arkony utracili bezpośredni kontakt ze swymi bóstwami. Miasto zaczęło podupadać, lecz nigdy nie padło ostatecznie. Czyciele Świątowita wciąż wierzą, że kiedyś sierp zostanie odnaleziony. A wtedy starzy bogowie powrócą i prastłowińska religia rozleje się na cały świat.

– Ciekawa opowieść – przyznałem – lecz nadal nie wiemy, dlaczego ktoś wymalował prastary symbol nieopodal naszego domu?

– Może to oznaczać, że sierp został lub zostanie niebawem odnaleziony.

Wzruszyłem ramionami, nie mając na to odpowiedzi. Zmęczona Welewitka położyła się. Dołączyłem do niej, lecz nie mogłem zmrużyć oka. W głowie miałem prawdziwy chaos. Wreszcie, kiedy nad ranem zasnąłem, to przydarzyło mi się coś naprawdę niezwykłego. Miałem widzenie senne.

Znów było tak jak przed laty na statku Zbysława oraz w karczmie Jakuba. Jakby moja dusza chwilowo opuściła ciało. Unosiłem się w powietrzu niczym ptak, czy owad, nie bardzo wiedząc, co robić. Lecz nagle ukazała się przede mną roześmiana postać, którą rozpoznałem od razu. Była to moja matka z rozwianymi kruczoczarnymi włosami.

– Pójdźmy, synu – rzekła.

Pomknęliśmy poprzez przestworza i ujrzałem miasto, którego nie mogłem objąć wzrokiem. Przeniknęliśmy przez grube mury pałacu do skarbcza jeszcze większego jak ten na wyspie Argula Krwiopijcy. Były tam niezliczone sterty srebra, klejnotów

i kamieni szlachetnych, a można było dostrzec również złoto. Pośród owego bogactwa kręcił się zniecierpliwiony człęk, który najwyraźniej czegoś szukał. Wreszcie spod sterty monet wydobył rzecz, która okazała się sierpem o srebrnym ostrzu, z rękojeścią przyozdobioną zielonym szmaragdem.

– Mam! – wykrzyknął z ulgą mężczyzna.

Następnie poniósł ów przedmiot schodami oraz długimi korytarzami, aż do obszernej sali tronowej, w której czekał strojnie odziany władca...

Nagle wszystko się odmieniło i znalazłem się w dziwnie znajomym, lecz zamglonym miejscu. Zobaczyłem stół ofiarny, na którym spoczywała długowłosa niewiasta, której twarz przesłaniała gęsta mgła. Nad nieszczęsną pochylał się dziwny mąż, z obnażonym ostrzem w dłoniach i żądzą mordu w drapieżnych oczach. Bardzo chciał zadać śmiertelny cios, lecz nie potrafił. Jakby zmagał się z tajemniczą siłą, chroniącą dziewczynę oraz uniemożliwiającą mu przelanie krwi. Chciałem się wtrącić, lecz wówczas rozległ się krzyk i poczułem szarpnięcie połączzone z lekkim bólem.

Następnie zbudziłem się gwałtownie we własnej alkowie. Welewitka leżała obok, mamrocząc coś przez sen. Dzieci również spały. Wyśliznąłem się z łoża i przeszedłem przez izbę jadalną. Otworzyłem cicho drzwi i wyszedłem na dwór, aby powitać pierwsze promienie świtu, i pomyśleć.

Spożywaliśmy właśnie poranny posiłek, złożony z gorącej owsianki na mleku, świeżego chleba, sera, miodu oraz suszonych owoców; kiedy to odrzwia domostwa stanęły otworem i do naszej izby wpadł ośnieżony Teobald.

– Gniewomirze, jacyś ludzie stoją przed bramą, a Gudrun pluje na nich – oznajmił ksiądz. – Prawdę mówiąc, mnie

też nie spodobali się owi przybysze, lecz zdołałem powściągnąć swoje nerwy.

Zaciekawieni, nałożyliśmy wierzchnie okrycia i wszyscy podążyliśmy za duchownym: ja, Welewitka, Gniewomir Młodszy, Wojmir oraz Thorvald. Gdy dotarliśmy do grodowej palisady, stali tam już inni mieszkańcy, wśród których ujrzałem Jaśka Tura, Ismirę, Żitimira, Ingwara oraz Ruta Bystrookiego. Wszyscy oni obserwowali osobliwą scenkę, która rozgrywała się właśnie za bramą. Podszedłem bliżej, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Otóż przed grodem, na śniegu stały trzy osoby oraz jeden czarnobiały wilk. Owo zwierzę stało u boku Gudrun i warczało cicho, obnażając białe zęby. Jego pani wtórowała mu podobnym głosem, czyniąc przy tym rękami jakieś magiczne, odstraszaające znaki w powietrzu. Dziesięć kroków od nich stali dwaj obcy mężczyźni. Ten wyższy miał na sobie płaszcz z białego futra, a obie dłonie zaciskał na grubym kiju wbitym w ziemię. Spod kaptura spoglądał na wiedźmę i wilka. Drugi przybysz, nieco niższy, był przyodziany w wyświechtane, szare okrycie. Na głowie miał stożkowaty hełm, a na plecach nosił okrągłą tarczę. Prawą dłoń zaciskał na rękojeści miecza. W lewej ręce zaś dzierżył długi nóż. Ni chybi był wojownikiem.

– Co tu się dzieje!? – zawołałem gromko.

– Nie wpuszczaj tego szarlatana pod dach! – odkrzyknęła Gudrun. – To sługus Lokiego!

– Nie jestem wyznawcą północnych bóstw – odparł spokojnie wędrowiec. – Służę wyłącznie prastarym słowiańskim bogom.

– Czy to ty wymalowałeś dziwny znak na drzewie, nieopodal mojego grodu? – zapytałem.

– Tak – potwierdził. – Przed dwoma dniami. Jeśli zaprosisz mnie i brata na posiłek, to wszystko wyjaśnię.

Zamyśliłem się, rozważając ofertę przybysza. Moja żona milczała. W końcu dałem znak, żeby otwarto wrota. Do grodu weszli dwaj wędrowcy. Za nimi wkroczyła Gudrun. Wilka, co oczywiste, nie wpuściliśmy za bramę. Kiedy tylko człek z kosturem wszedł do środka, natychmiast zzuł kaptur z głowy, ukazując nam swoje oblicze. Ujrzałem bladozielone oczy drapieżnika czyhającego na ofiarę. Ponurą twarz porośniętą lekkim zarostem oraz sięgające ramion jasne włosy przyprószone siwizną. Szybko oceniłem wiek stojącego przede mną męża na mniej więcej czterdzieści pięć wiosen.

Wyciągnąłem doń dłoń, chcąc się przywitać, lecz Welewitka mnie ubiegła. Przyskoczyła z boku, po czym zdzieliła przybysza pięścią w twarz, rozbijając mu dolną wargę. Ów zatoczył się nieco i roześmiał.

– Widzę, droga siostró, iż gorąca krew nadal wrze w twoich żyłach – rzekł.

– Sprzedałeś mnie – fuknęła nań Welewitka.

– Nie ja, tylko nasz ojciec. Dobrze wiesz, że było to konieczne. Tak bowiem objawiła się wola bogów. Chyba dziś tego nie żałujesz, prawda?

– Może i nie, lecz nadal jestem wściekła.

Wędrowiec otarł krew z brody, po czym spojrzał na mnie i przedstawił się wreszcie:

– Jam Kszczumir, od trzech lat najwyższy kapłan Rugii i opiekun świątyni w Arkonie. A to Jarowit – wskazał kiejem stojącego obok człowieka – mój brat i najdzielniejszy wojownik na wyspie.

Spojrzałem na owego Jarowita, który był podobny do brata, lecz znacznie od niego młodszy. Różnica wieku

mogła wynosić dziesięć, a nawet piętnaście wiosen. Ponadto odcień zieleni w jego oczach był bardziej intensywny, choć nie tak mocny jak u Welewitki, która właśnie witała się z nim czule. Oboje zamknęli się w objęciach, a w oczach mej ukochanej zalśniły łzy.

Przeniosłem wzrok ponownie na Kszczumira, który wpatrywał się w coś intensywnie. Oczy mu błyszczały.

– Więc magia bogów wciąż działa! – wykrzyknął zachwycony. – Chwała Perunowi i Welesowi!

Odwróciłem się za siebie i spostrzegłem Marzannę nadchodzącą szybkim krokiem. Moja młodsza córka była bardzo podobna do matki. Na oko nie było między nimi żadnej różnicy wieku, w czym wielu dopatrywało się magii, choć w rzeczywistości dzieliło je prawie dwadzieścia lat.

– Kim są ci obcy? – spytała córka.

– To twoi wujowie z Rugii – odparłem.

– Nic o nich nie wiem. Nie opowiadałaś o nich, mamo.

– Bo nie było takiej potrzeby, dziecko – rzekła Welewitka.

– Naprawdę nie opowiadałaś córce o prastowiańskich wierzeniach? – zdziwił się Kszczumir. – To do ciebie niepodobne, siostrze.

– Nie musiała, bo teraz obie należą już do Chrystusa – wtrącił się Teobald.

Słowiański kapłan obdarzył księdza iście miazdzącym spojrzeniem, lecz ten nie okazał strachu. Wyjął z sakwy przy pasie małą kropielniczkę, w której, jak mierniam, znajdowała się woda święcona i najwyraźniej był gotów do konfrontacji. Lecz Kszczumir, w owej chwili, nie chciał walki, więc tylko mnie zapytał:

– Czy wszyscy staliście się chrześcijanami?

– Nie wszyscy, lecz większość z nas – odparłem.
– Dlaczego?
– Cóż. Chyba lepiej stać po stronie Boga, który wygrywa, niż pozostawać wiernym bóstwom z wolna odchodzącym w zapomnienie.

Brat Welewitki, zadziwiony moją odpowiedzią, nie odrzekł nic, a stojąca z boku Gudrun prychnęła tylko. Napiętą sytuację złagodziła moja małżonka, mówiąc:

– Chodźmy dokończyć śniadanie. Mam wiele pytań. Nie będziemy do nocy tkwić tu na mrozie.

– Zawsze wiesz, co rzec, ukochana – pochwaliłem ją. – Zapraszam wszystkich na poranny posiłek.

Udaliśmy się do mego domostwa i zasiedliśmy przy stole w jadalnej izbie: ja, Welewitka, Wojmir, Marzanna, Jaśko, Teobald, Ismira, Ingwar, Angward, Tworzymir oraz dwaj przybysze. Pod ścianami na drewnianych stołkach usiedli inni, w tym: Gudrun, Gniewomir Młodszy, Thorvald i książę Żitimir. Milczący Jarowit od razu przystąpił do pałaszowania ciepłej owsianki. Kszczumir dłużej mieszał strawę, zanim skierował łyżkę do ust.

– Co nowego w Arkonie? – przerwała ciszę zniecierpliwiona Welewitka.

– Od twojego porwania wiele się zmieniło – zaczął Kszczumir. – Ja, z łaski bogów, zostałem arcykapłanem, a Jarowit jest moim strażnikiem. Nasze siostry: Wszemia i Różyczka, próbują zastąpić ciebie w uzdrawianiu, lecz kiepsko im idzie, gdyż nie posiadły twego daru. A Gościwit, jak to on, zawsze przed sia. Dziesięć lat temu założył warsztat szmuklerski nieopodal miasta. Jest również wyśmienitym szewcem. Wyrabia najlepsze buty i pasy w całej Rugii. Co do losu naszego ojca, to powiesił się niedługo po twojej

ucieczce. Chyba nie mógł znieść tego, że sprzedał cię kapłanom ze świątyni.

– Ty go do tego nakłoniłeś, bracie, gdyż chciałeś zostać akolitą. A to był jedyny sposób.

– Cóż. Najwidoczniej taka była wola bogów.

– Po coś tu przybył? – wtrąciłem się, zmieniając temat rozmowy.

– Przybyłem, żeby rozpocząć poszukiwania boskiego sierpa – obwieścił Kszczumir.

– I dlatego wymalowałeś na drzewie symbol Peruna i Wellesa?

– Oczywiście. Musiałem ogłosić światu to, że sierp bogów wkrótce zostanie odnaleziony.

– Jakże to? Ponoć nikt nie wie, gdzie go szukać.

– Prawie nikt, jarlu Gniewomirze. Kiedy mój czcigodny poprzednik umierał, zdążył przekazać mi sekretną wiedzę o sierpie. Przykazał jej strzec, lecz ja postanowiłem ją ujawnić i z niej skorzystać. Uznałem bowiem, że nadszedł właściwy czas. Bogowie do mnie przemówili.

– I co ci rzekli?

Kszczumir nie odpowiedział od razu. Dokończył owsiankę. Oblizał łyżkę i sięgnął po pajdę chleba z miodem. Ugryzł kęs. Przeżuł. Połknął, po czym rzekł:

– Zdrajca, który ukradł sierp z Arkony, nazywał się Dwaróg. Ów złodziej przekazał święty przedmiot ruskiemu księciu. I od tamtej pory Ruryk był niepokonany, podobnie jak jego potomkowie: Oleg, Igor oraz Światosław, który ze swymi łódziami oblegał Nowy Rzym. Niestety butny władca zginął, zabity przez podstępnych Pieczyngów. Jego zaś syn, Władimir, zwany Potężnym, wyrzekł się starych bogów i przyjął religię chrześcijańską z Konstantynopola.

Nakazał on wlec za koniem kijowski posąg Peruna, który ostatecznie wrzucono do rzeki na pohańbienie i zgniecie. Następnie Władimir wysłał sierp bogów, jako błyskotkę, w darze bizantyjskiemu cesarzowi. Co nie dziwne, monarcha Nowego Rzymu nie poznał się na wielkiej mocy owego przedmiotu i umieścił go w pałacowym skarbcu, gdzie spoczywa aż po dzień dzisiejszy.

– Skąd pewność, że ów artefakt nadal tam jest? – zapytał Teobald.

– Nie doceniasz mnie, klecho – prychnął Kszczumir. – Dawno temu, będzie z jakieś dwadzieścia wiosen, kiedy marzyłem tylko o potędze, którą dziś posiadam, miałem przyjaciela o imieniu Jaryłko. Ów młodzian o pięknym głosie i gibkich dłoniach, obdarzony został darem muzykowania. Nie było na Rugii nikogo, kto by lepiej śpiewał czy też grał na flecie, harfie lub lutni. Ludzie słuchający jego głosu śmiali się, płakali, wrzeli z gniewu lub milczeli posępnie. Nie było człeka, który przeszedłby obojętnie obok Jaryłki cieszącego się powszechną czcią. Jednak memu przyjacielowi to nie wystarczało i pewnego dnia postanowił wyruszyć do Konstantynopola, gdzie, jak stwierdził, jego twórczość zostanie odpowiednio doceniona. Pragnąłem odwieść Jaryłka od tego zamiaru, gdyż nie chciałem stracić wiernego druha, lecz on uparł się, więc w końcu ustąpiłem. Ze łzami w oczach wyposażylem go na drogę i pożegnałem. Od tamtej pory nie miałem od niego żadnych wieści.

Kszczumir przerwał na chwilę, aby łyknąć napitku, po czym kontynuował opowieść:

– Pochłonięty walką o wpływy w naszym świętym zrzeszeniu, zapomniałem o przyjacielu; aż do dnia, w którym z ust umierającego poprzednika usłyszałem historię sierpa

bogów. Wówczas wysłałem do Bizancjum pewnego zaradnego kupca, który miał dowiedzieć się czegoś o sprawie. Oczywiście nie liczyłem na wiele, bo jak mógłbym liczyć. Modliłem się do bogów i czekałem aż do poprzedniego lata, kiedy to posłaniec powrócił z doniosłymi wieściami. Okazało się, że zdołał odnaleźć mojego dawnego przyjaciela, który ponoć przeszedł na chrześcijaństwo i teraz nazywa się Anastazy. Dawny Jaryłko opowiedział kupcowi, jak przez lata grywał na ludnych ulicach oraz licznych placach Konstantynopola, aż wreszcie został dostrzeżony i zaproszony do pałacu. Dzięki swym talentom szybko wykupił się w łaski cesarza Bazylego II. Ów potężny monarcha obdarzył go sporym zaufaniem. Powierzył mu nawet pieczę nad jednym z kluczy do pałacowego skarbcza. Dzięki temu Jaryłko, teraz już Anastazy, odnalazł sierp bogów, którego obraz namalował kolorowymi barwnikami na pergaminowej karcie. Kiedy ujrzałem ów malunek, dostarczony mi przez posłańca, to pojąłem, iż nastał z dawna wyczekiwany czas.

– Na co? – wtrąciłem pytanie.

– Na to, abym udał się do Konstantynopola i osobiście sprowadził sierp bogów do domu w Arkonie – wyjaśnił Kszczumir.

– I co potem? – nie ustępowałem.

– Potem – oczy słowiańskiego kapłana rozbłyły – odprawie prastary rytuał przywołujący i sprowadzę bogów, którzy ponownie otoczą opieką naszą świętą wyspę. Wtedy to zadrżą wyznawcy Odyna, Epony i Jezusa, a kult Welesa, Peruna oraz Świętowita rozleje się po całym świecie.

– Prędej żabom urosną skrzydła – prychnęła Gudrun.

– Czyż jesteś aż tak butny, człecz – zagrmiał ksiądz Teobald – aby sądzić, że słowiańscy bogowie, nawet jeśli

istnieli, zapagną przybyć na twoje wezwanie, niczym sfora psów przywołanych przez łowczego! Toż to jawna głupota i bałwochwalstwo!

– Możecie mi nie wierzyć – zaśmiał się lekko Kszczumir – lecz wkrótce zrozumiecie, że to prawda. Nieprawdaż, bracie?

Spojrzał na Jarowita, który kiwnął głową na potwierdzenie.

– Czemu nic nie mówisz, braciszku – wtrąciła się Welewitka – tylko siedzisz milczący przez cały czas?

W odpowiedzi Jarowit rozwarł usta, ukazując koniuszek odciętego języka. Oniemieliśmy na ten widok. Marzanna i Ismira westchnęły głośno. A Welewitka wlepiła w Kszczumira pełne wściekłości spojrzenie. Gdyby mogła, to pewnie zabiłaby go wzrokiem na miejscu.

– Cóż się tak piekiesz, siostrzyczko? – udał zdziwienie Kszczumir. – On uczynił to dobrowolnie.

– Jak to? – chciała wiedzieć Welewitka.

– Jarowitowi bardzo zależało na tym, aby nasza misja się powiodła. Dlatego w owej intencji postanowił złożyć bogom ofiarę z samego siebie. Oczywiście zapewniłem go, że po przywołaniu Perun zwróci mu język i mowę.

– Cóż za głupota – oceniła sprawę Gudrun.

– No dobrze – stwierdziłem. – Usłyszeliśmy wszystko, co chcieliśmy. Jeśli więc posililiście się, dostojni goście, to odejdźcie. Do Bizancjum droga daleka.

– I niebezpieczna, jarlu Gniewomirze – przyznał Kszczumir. – Dlatego poczekamy nieco i wyruszymy na Wschód, wraz z armią księcia Bolesława. Do tego czasu spodziewaliśmy się znaleźć schronienie w chrześcijańskim domu naszej siostry. Słyszeliśmy bowiem, że wyznawcy Chrystusa pomagają przybyszom. Czyż nie, drogi Teobaldzie?

– Owszem – potwierdził ksiądz – lecz tym potrzebującym, a nie wrogom stwarzającym zagrożenie.

– Ja nie jestem wrogiem, tylko łagodnym kapłanem prastarych bogów.

– Łagodnym, niczym wąż z rajskiego ogrodu Eden.

– Z tego, com słyszał, to ów wąż tylko kusił. Naiwna zaś Ewa połknęła haczyk, a głupi Adam jej posłuchał.

– To nie tak. Oni byli niewinni. Sprzeciwili się Bogu, co było głupotą, lecz nie pojmowali istoty zła.

– Wystarczy tego! – zawołała Welewitka. – Obaj zostaniecie tu, przez czas jakiś, abym mogła mieć was na oku, lecz potem odejdziecie i więcej się nie zobaczymy.

– Wedle twego życzenia, droga siostró – zgodził się Kszczumir.

Wyszedłem za potrzebą, aby ochłonać i pomyśleć. Obrazy z nocnego snu zaczęły mi przelatywać przed oczami: wielkie miasto Konstantynopol, pałac i skarbiec oraz człowiek poszukujący sierpa, najpewniej Anastazy. Następnie sala tronowa i cesarz Bazyli. A potem Kszczumir stojący z uniesionym ostrzem w arkońskiej świątyni. Dokonujący prastarego rytuału przywołania bóstw. Na koniec znajomy krzyk niewieści, od którego ciarki przeszły mi po plecach. Wiedziałem, że ów sen był ostrzeżeniem. Dlatego musiałem być czujny. Postanowiłem też zasięgnąć rady najbardziej zaufanych osób, choć wiedziałem, że to, co mi powiedzą, nie ukoi mych obaw. A może nawet je podsyci.

Tamtego roku zima szybko ustąpiła miejsca wiośnie. Śniegi i lody stopniały. A rozmokłe błota wysychały w promieniach słońca. Na świat przychodziły młode zwierzęta leśne oraz domowe. Ptaki budowały gniazda i wyśpiewywały

radosne, miłe dla ucha melodie. Cała przyroda budziła się do życia z zimowego odrętwienia.

Kszczumir prędko się u nas zadowił, lecz nie zyskał zaufania mieszkańców, którzy woleli go unikać. Gudrun stale mnie ostrzegała przed złowieszczą magią słowiańskiego czarownika. Teobald zaś kilkakrotnie próbował nakłonić Kszczumira do przyjęcia chrztu, lecz ten spokojnie odmawiał. Najstarszy brat Welewitki lubił samotność. Dlatego większość czasu spędzał w leśnych ostępach. Bywało, że zniknął nawet na dwa lub trzy dni, a kiedy wracał, to nikomu nie mówił, gdzie przebywał. Zapewne oddawał się jakimś mrocznym praktykom albo szukał zbliżenia ze swymi bogami. Raz sekretnie posłałem jego tropem kilku zwiadowców, lecz okazało się, że sprytny Słowianin zniknął im z oczu i przepadł w głuszy.

Podczas wspólnych posiłków w Gniewogardzie Kszczumir próbował zaznajomić się z moimi córkami, a w szczególności z Marzanną, która jednak nie była nim zainteresowana. Ismira, zawsze śmielsza, częściej odpowiadała na jego słowne zaczepki, ale nigdy nie dała się omamić jakimiś szaleńczymi wizjami. Nieraz, rozzłoszczony ową sytuacją, Kszczumir chciał podnieść głos i niejako wymusić posłuch u niewiast, lecz zawsze milkł, zgromiony ostrym spojrzeniem czuwającej Welewitki. Bezradnie rozkładał tylko ręce, na pozór godząc się z przegraną. Wstawał od stołu, po czym odchodził w nieznane.

Mniej tajemniczy wydawał się niemy Jarowit, który zamieszkał, jako gość, pod moim dachem. Najmłodszy brat Welewitki był solidnym wojownikiem, dość zgrabnie władającym mieczem. W boju cechowała go gwałtowność oraz niecierpliwość. Podobnie jak mego starszego syna, Wojmira.

Dzięki owym podobieństwom obaj wojowie szybko się polubili i często krzyżowali ze sobą ostrza w ćwiczebnych pojedynkach. Owym walkom zazdrośnie przyglądał się Gniewomir Młodszy, który jeszcze nie ćwiczył regularnie z dorosłymi wojownikami. Co prawda, jak na jedenasto-latkę, znakomicie używał miecza i włóczni oraz niezgorzej strzelał z łuku, lecz jego nadgarstki jeszcze się dostatecznie nie rozwinęły. Dlatego musiał być cierpliwy i przyglądał się innym w towarzystwie Żitimira oraz Thorvalda, którzy nie odstępowali go na krok. Uspokajałem rozżalonego potomka, zapewniając go, że za rok, najwyżej za dwa lata, rozpocznie prawdziwe szkolenie.

Z nadejściem wiosny sposobiliśmy się do lądowej wyprawy wojennej. Po raz pierwszy nie skorzystaliśmy z naszych drakkarów, które tkwiły oczyszczone i zreperowane w nadbrzeżnym hangarze. Musieliśmy za to nabyć sporą liczbę mocnych koni bojowych i pociągowych. Nadających się do galopu i walki oraz do przewożenia niezbędnego ekwipunku, głównie broni, pancerzy i prowiantu. Uzupełniliśmy również załogę Gniewogardu poprzez przyjęcie do naszej drużyny stu nowych zbrojnych. Owi najemnicy pochodzili głównie z Północy, lecz nie tylko. Najbardziej zadziwiło mnie przybycie dziesięciu ludzi ze straży świątynnej w Arkonie. Z początku nie zamierzałem ich wynajmować, lecz ostatecznie uległem namowom Kszczumira. Wiedziałem bowiem z własnego doświadczenia, że na wojnie każdy dodatkowy miecz jest przydatny.

W połowie maja przybył Dobrosław z wezwaniem od księcia Bolesława. Ów posłaniec przekazał nam również doniosłe wieści. Potwierdził on, iż minionej zimy, a dokładniej w styczniu, Bolesław Mieszkowic zawarł w Budziszynie

pokój z cesarzem Henrykiem II. W jego wyniku niemiecki władca oddał synowi Dobrawy Milsko i Łużyce. To właśnie o te strategiczne ziemie Słowianie zachodni i Niemcy toczyli długą, bo aż szesnastoletnią wojnę, przerywaną kilkoma okresami rozejmowymi, przeznaczonymi na rokowania. Ponadto Henryk obiecał Bolesławowi zbrojne wsparcie wyprawy na Ruś. Wyglądało więc na to, że cesarz uznał się wreszcie za pokonanego i pozwolił silnemu przeciwnikowi tryumfować. Z kolei wojowniczy syn Mieszka, opromieniony zwycięstwem nad najpotężniejszym monarchą europejskim, postanowił natychmiast pójść za ciosem i najechać Kijów. Dlatego trzeba było znów ostrzyć włócznie, topory i miecze oraz żegnać się z najbliższymi.

Dobrze pamiętam ów pierwszy dzień czerwca, kiedy stałem w blasku porannego słońca, trzymając za uźdę karego ogiera, którego znałem od źrebaka. Nałożyłem mu ciemny czaprak oraz brązowe siodło, które zaciągnąłem poprzęgiem. Nigdy nie byłem wybornym jeźdźcem, choć oczywiście zdarzało mi się walczyć z końskiego grzbietu. Zawsze wybierałem konie dobrze wyszkolone, które wcześniej widziałem w akcji. Dzięki temu pewniej czułem się w siodle i mogłem w pełni skupić się na przeciwniku.

Tamtego dnia miałem na sobie nową kolczugę, wzmocnioną metalowymi płytkami, solidny hełm, wygodne spodnie oraz buty. Do pasa przytroczyłem nóż i jedno-ręczny toporek. Na plecach zawiesiłem miecz, zwany Poskramiaczem Wrogów. Moją tarczę, zabarwioną na niebiesko, z wymalowanym wizerunkiem wilka Fenrira trzymającego w pysku słońce, starannie przymocowałem do końskiego boku.

Po mej prawicy stał siedemnastoletni Wojmir, który był odziany podobnie jak ja. Jego miecz został wykuty w kraju Franków przez najlepszych płatnerzy. Zadbałem również o to, aby mój pierworodny otrzymał solidną kolczugę i wytrzymały hełm. Młodzik był wyraźnie podekscytowany, a zarazem przejęty, swoją pierwszą wyprawą wojenną. Sam dobrze pamiętam owo nadzwyczajne uczucie, znane wyłącznie wojownikom.

Za naszymi plecami stali, przy swoich koniach, które w większości były maści karogniadej, moi ludzie przyodziani w pancerze, zbrojni w miecze i topory. Niektórzy przewiesili przez plecy łuki oraz kołczany wypełnione strzałami. Zabierałem najwaleczniejszych najemników pochodzących z wielu plemion i ludów. Wśród nich byli moi najwierniejsi druhowie: Jaśko Tur, Rut Bystrooki, Cićmierz, Jaćwież, Ingwar oraz Angward. Tworzymira, wraz ze słowiańskimi włócznikami, pozostawiłem na straży naszego domu.

Większość spośród stu dwudziestu zbrojnych miało błękitne tarcze z czarnym wilkiem Fenrirem. Jedyne mieszkańcy Rugii, z miasta Arkona, mieli na swych białych tarczach wymalowany brązowy posąg czterogłowego Świętowita. Dowodzenie nad nimi objął niemy Jarowit podległy starszemu bratu. Sam Kszczumir prezentował się dość okazale w swoim długim, białym płaszczu. Dosiadał siwego rumaka, którego czaprak, siodło, a nawet uzda, zostały zabarwione na śnieżną biel. Patrząc na słowiańskiego kapłana, pomyślałem, że musi on być podobny do rzymskiego papieża, który ponoć też chadza w bieli.

Pomiędzy nami kręcili się pozostali mieszkańcy Gniewogardu: mężczyźni, niewiasty i dzieci. Byli również wieśniacy z pobliskich osad. Jak zwykle przy długich pożegnaniach,

były śmiechy, płacze, głośne okrzyki, ciche szepty oraz wszechobecne utyskiwania i narzekania. Gwar nie cichł ani na chwilę.

Welewitka objęła mnie mocno i całowała czule. Ja odwzajemniłem owe uczucia. Oboje nigdy nie ukrywaliśmy swojej miłości, więc nie przeszkadzała nam ciżba ani panujący zgiełk. Wreszcie żona oderwała swe usta od moich warg. Zrobiła głęboki wdech, po czym szepnęła.

– Strzeż naszego syna, kochany.

– W czasie bitwy nie odstępę go na krok – zapewniłem.

– Nasi przyjaciele również.

– Wiem, lecz to może nie wystarczyć. Moi bracia nie są już tacy jak dawniej. A nawet wtedy nie byli nazbyt rozgarnięci.

– Co masz na myśli?

– Kszczumir stał się szaleńcem ganiającym za urojeniami własnego umysłu. A chwiejny duchowo Jarowit jest mu wierny, niczym pies. Dla pozyskania sierpa bogów obaj uczynią wszystko. Nie zawahają się przed zabiciem ciebie, jeśli będziesz dla nich zagrożeniem lub staniesz im na drodze.

– Wiem. Będę na nich uważał. Obiecuję.

Kiedy Welewitka przytuliła do piersi naszego syna, do mnie podeszły: Ismira i Marzanna, niosąc na rękach swoje córki: Miłkę i Wilkę.

– Bądź ostrożny, ojcze – rzekła Ismira.

– Nie daj się zabić i szybko wracaj do nas – dodała Marzanna.

– Postaram się – zapewniłem.

Wyściskałem je, po czym skinąłem dłonią na Gniewomira Młodszego, który stał nieopodal, przyodziany w skórzany pancerz, z krótkim mieczem u boku. Mój młodszy

syn, choć nadal naburmuszony, ustąpił i podszedł bliżej. Lecz jego mina pozostała zacięta. Za nim przytruchtali: Thorvald i Żitimir oraz kilku innych wyrostków.

– Nie smuć się, synku – poradziłem mu. – Za parę lat i ty wyruszysz na wyprawę.

– A jeśli nie? – powątpiewał młodzik.

– Na pewno. Wojny przecież nigdy się nie skończą.

– Ale ja nie chcę czekać! Pragnę walczyć już teraz!

– Wiem, lecz jesteś jeszcze zbyt młody. Musisz nabrać większej krzepy i wprawy. Wojna bowiem to nie ćwiczebne pojedynki, w których zawsze masz drugą szansę. Dlatego wciąż trenuj ciało i umysł oraz słuchaj się Tworzymira, który odpowiednio cię przygotowuje.

Wspomniany Tworzymir właśnie przeciskał się przez tłumek chłopców. Wyminął Thorvalda i Żitimira, stając przy Gniewomirze Młodszym.

– Broń Gniewogardu – poleciłem przyjacielowi. – Masz tu stu osiemdziesięciu bitnych Słowian, w większości z pobliskich ziem. W razie ataku pozostaną ci wierni.

– Wiem – odparł pieśniarz. – Będę strzegł naszego domu do czasu twego szczęśliwego powrotu.

– Wierzę. Ponadto miej baczenie na dorastających wojowników, którzy aż palą się do walki. Szkol ich rozważnie.

– Tak będzie, Gniewomirze, lecz żałuję, że nie zabierasz mnie z sobą. Siedząc tutaj, nie mam sposobności do komponowania pieśni o wielkich czynach.

– Wręcz przeciwnie, mój drogi bardzie. Już wkrótce stworzysz kilka przednich ballad, kiedy tylko usłyszysz wieści o naszych zwycięstwach. Zapewniam cię.

Uścisnąłem dłoń Tworzymira, po czym przyszła kolej na Teobalda, który podszedł do mnie ze srebrnym

krucyfiksem w dłoniach. Gdy ucałowałem ów święty przedmiot, ksiądz udzielił mi chrześcijańskiego błogosławieństwa, po czym rzekł:

– Naprawdę nie chcesz, żebym towarzyszył wam w wyprawie?

– Nie – potwierdziłem. – Wolę, żebyś zarządzał Gniewogardem. Odprawiaj codziennie mszę oraz miej baczenie na wszelkie sprawunki. Welewitka ci dopomoże.

– Skoro tak, to zabierz przynajmniej Pismo Święte.

– Po co? Przecież wiesz, jak mozolnie idzie mi składanie łacińskich liter. W czasie wojny nie będę miał cierpliwości, aby to czynić. Chyba że poproszę Kszczumira o odczytanie mi fragmentu biblijnego tekstu.

Duchowny burknął coś pod nosem, najpewniej urażony moim kiepskim żartem. Chciał odejść, lecz ostatecznie rozmyślił się i powiedział:

– Co do twych sennych wizji, to sądzę, iż są one zsyłane z woli Boga. Maję cię ostrzec przed tym, co może się stać.

– A co może się stać? – spytałem.

– Niestety nie wiem. Jedynie Bóg wie wszystko i zna całą prawdę.

Owe słowa niewiele mi pomogły, lecz podziękowałem księdzu za starania. Jeszcze raz wycałowałem małżonkę i już chciałem wskoczyć na konia, kiedy usłyszałem cierpki, pytający głos.

– Czy nie zapomniałeś o kimś, braciszku?

Odwrociłem się i zobaczyłem Gudrun, która podeszła bezszelestnie i teraz stała o krok przede mną.

– Nie widziałem cię, siostro – rzekłem – więc pomyślałem, że nie chcesz się żegnać.

– Chcę, bracie. Przybyłam, żeby coś ci obwieścić.

- Więc mów.
- Wiedźma przybliżyła się jeszcze bardziej i wyszeptała:
- Nieustannie ścierają się ze sobą niebiańskie moce, czego pokłosiem są wojny prowadzone na tym świecie. Ludzie są tylko pionkami rozstawionymi przez bogów na ziemskiej szachownicy. Lecz jeśli magiczny sierp zostanie wydobyty na światło dzienne, to jeden z pionków stanie się hetmanem. I wówczas będą mogły odrodzić się zapomniane potęgi.
- Czy owym wywyższonym pionkiem ma być Kszczumir? – spytałem.
- Oczywiście. Musimy go powstrzymać.
- Niby jak?
- Jeszcze nie wiem. To bardzo groźny przeciwnik.
- Więc, co radzisz?
- Postaraj się nie dopuścić do odnalezienia sierpa. Ja tymczasem będę chroniła twych najbliższych.
- Jak mam to zrobić? Przecież nie podążę za Kszczumirem aż do Miklagardu.
- Może i nie, lecz jeśli jednak podążysz, to uczyni wszystko, żeby mu przeszkodzić.
- Postaram się, lecz może mi się nie powieść.
- Wiem. Dlatego w decydującej chwili będę gotowa do działania.
- Jakiego?
- Zgodnego z wolą bogów. A teraz jedź już, bracie, nie przedłużajmy. Im dłuższe pożegnania, tym gorsza rozłąka.
- Przyznałem rację siostrze, po czym wskoczyłem na konia, który zatańczył na tylnych nogach. Zapanowałem nad zwierzęciem, przyciągając wodze i jeszcze raz omiotłem długim spojrzeniem twarze najbliższych, którzy ślali mi ciepłe uśmiechy oraz słowa pożegnania.

- Do widzenia! – zawołałem.
- Z Bogiem! – odkrzyknął Teobald.
- Do zobaczenia! – odkrzykiwali nam inni.

Okręciłem konia na zadzie i dołączyłem do swoich wojowników, którzy czekali już uszykowani w dwunastu rzędach liczących po dziesięciu jeźdźców. Przecisnąłem się do pierwszego szeregu i zawołałem:

- W drogę, przyjaciele!

Puściliśmy się szybkim kłusem poprzez główny trakt. Stu dwudziestu wojów dosiadających bojowych rumaków. Naszym śladem podążały trzy wozy zaprzężone w pociągowe konie. Na pierwszym z nich umieściliśmy furaz dla zwierząt. Na drugi załadowaliśmy prowiant oraz napitek dla nas. Na ostatnim z wozów jechała broń, głównie zapasowe tarcze oraz długie włócznie, które najszybciej zużywały się na wojnie.

Koniec wersji demonstracyjnej